Obietnica

Maja Elżbieta Cybulska

Czasami ma się ochotę na wiersz, który po prostu porusza serce. Wybrałam „Powrót do Isfahanu” Stanisława Balińskiego, ze zbioru *Wieczór na Wschodzie* (1928).

Powrócisz do Isfahanu, jak wraca pasterz do dolin:

Aleją białych platanów, brzękiem wieczornych mandolin,

Dzwonkami wiernych wielbłądów, idących z dalekich krajów,

Szumem pienistych strumieni, milczeniem ogrodu Rajów.

Zapachem róży wonniejszej od wszystkich kwiatów Gilanu,

I srebrnym cieniem wieczoru – powrócisz do Isfahanu.

Choćbyś nie umiał, nie wiedział i nie chciał – będziesz tam marzył.

Myśli rozwłóczysz, rozdalisz, roztopisz po horyzontach,

Zagubisz się i zachodzisz w miasta sinego trójkątach.

Wśród placów, drzemiących biało, i śpiewających bazarów,

Zapomnisz o biciu serca, zapomnisz o biciu zegarów.

Na to dalekie są miasta, kąpane we wschodnim niebie,

Żeby w nich błądząc samotnie, poczuć się bliżej siebie.

Niebo się zniży, kopuły zaleje płynnym szmaragdem,

Podasz mu oczy pogodne. Będziesz szczęśliwy. Naprawdę.

(Wiersze zebrane 1927-1947, Londyn 1948)

Przy lekturze tego wiersza nie chce się niczego ponad to, co zostało w nim ofiarowane. No może przydałoby się trochę informacji np. że autor pełnił służbę dyplomatyczną m. in. w Teheranie, w latach 1925-1927, a przedtem ukończył studia muzyczne, teoretyczne i kompozycyjne w Wyższej Szkole Muzycznej. Ale to są wszystko okoliczności pomocnicze, spoza tekstu.

W utworze jest „spora orkiestra”, bo i brzęk mandolin i dzwonki wielbłądów, szum strumieni, a jeszcze bicie serca i zegarów. To wszystko uwypukla otaczającą ciszę, milczenie (place „drzemiące biało”), zapomnienie. Całość jest tak osobna, tak radykalnie oddzielona od człowieczej aktywności (choć niekiedy ją przybliża), że sprawia wrażenie jakiegoś abstrakcyjnego pejzażu, na innej planecie. Jedynie zwrot do drugiej osoby: powrócisz, rozwłóczysz, roztopisz itd. sprawia, że spostrzegamy czyjąś obecność.

Kto to jest? Marzyciel zagubiony „w miastach sinego trójkątach”, samotnik, artysta wrażliwy na barwy, na „srebrne cienie wieczoru?, uwiedziony „zapachem róży”, odurzony powietrzem? Jest tu jakaś nieruchomość, zatrzymanie w czasie,

wysublimowane przeżywanie momentu zetknięcia z czymś bardzo materialnym, a jednocześnie nieziemskim. Jest jeszcze przejrzystość, nie zdefiniowana konkretynymi określeniami, ale zasugerowana opisem otoczenia. I żadnej drugiej osoby oczywiście nie ma. To tylko chwyt utwierdzający autora w trafności własnych obserwacji.

Wiodą one do znalezienia sensu w życiu. A jest nim poczucie bycia „bliżej siebie", wejrzenie w głąb. Baliński wnika w stan duszy wędrowcy, romantycznego pielgrzyma, który wchłania niezwykłe zjawiska i medytuje. Znajdując się w ciągłym ruchu, w drodze, jak brzmi tytuł innego wiersza, z tego samego zbioru, konstatuje:

Cały świat jest ojczyzną. Nie ma krajów obcych,

Tylko czas, co je spaja i dzieli jak chłosta

W końcu okazuje się, że ten świat „jest mniejszy od serca" i ucieczkę z niego zapewnia tylko śmierć. Ale przed ucieczką podróżnik ulega rozmaitym fascynacjom. Roztaczają się przed nim bajeczne widoki, ogarniają wzruszenia. Autor wskrzesza w swoim wierszu ponadczasową ideę dążenia: *Nawigare necesse est. Vivere non est.* I ta nieoczekiwana obietnica. „Będzisz szczęśliwy. Naprawdę". Osobiście nie wierzę w podobne zapewnienia, ale jeżeli wychodzą one od poety, to chyba warto spróbować mu zaufać.

Czy można się dziwić, że czasami nadchodzi człowieka chętka przeczytania tradycyjnego, poruszającego serce liryku?

Stanisław Baliński, poeta, fot. Wikipedia.

Cały świat jest ojczyzną

Edward Zyman

Zaczerpnięty z wiersza Stanisława Balińskiego „Powrót do Isfahanu” tutułowy wers tej notatki mógłby posłużyć jako motto uroczej książki Maji Elżbiety Cybulskiej *Łabędź. O wierszach*, wydanej nakładem Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Fraza” (2019). Zbiera ona gawędy o poezji, jakie autorka zamieszcza od trzech lat

na łamach londyńskiego „Nowego Czasu”. Gawędy, bo to teksty pięknie, mądrze i niezwykle zajmująco „opowiadające” przesłanie osiemnastu wybranych wierszy (m. in. Balińskiego, Gałczyńskiego, Herberta, Homera, Horacego, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Miłosza, Przyłuskiego, Szymborskiej, Śmieji, Twardowskiego, Wergiliusza, Wierzyńskiego).

Teksty te są jednocześnie dowodem bezinteresownej miłości jaką Cybulska, uprawiająca krytykę, darzy sztukę pięknego słowa. Nie dziwi to specjalnie, jest bowiem również poetką. Wiersze są dla Maji Elżbiety Cybulskiej zaproszeniem do refleksji nad fenomenem ludzkiej egzystencji, nad człowiekiem, jego namiętnościami i pasjami, nad wpisaną trwale w jego kondycję samotnością, a także nad procesami cywilizacyjno-historycznymi wyznaczającymi warunki jego bytowania. Są także hymnem na cześć sztuki, jedynej bodaj aktywności ludzkiej, która nie dzieli lecz łączy, przemawia do każdego z nas, bez względu na miejsce zamieszkania, rasę i wyznanie. Gdy potrafimy zachwycić się piekną frazą, obrazem mistrza czy ujmującym istotę naszej niepowtarzalności lirykiem, wówczas cały świat jest dla nas ojczyzną. Znikają wszelkie bariery i granice, otwierają się natomiast – nieograniczone możliwości komunikacyjne. Zapraszam do lektury jednej z gawęd, którą autorka poświęciła przejmującemu lirykowi Stanisława Balińskiego. Polecając tę interesującą książkę, zredagowaną przez krytyka, historyka literatury i miłośnika pięknych druków – dra Jana Wolskiego i opracowaną graficznie przez Grzegorza Wolańskiego nie sposób nie zwrócić uwagi na jej piękny, cieszący oko kształt edytorski.

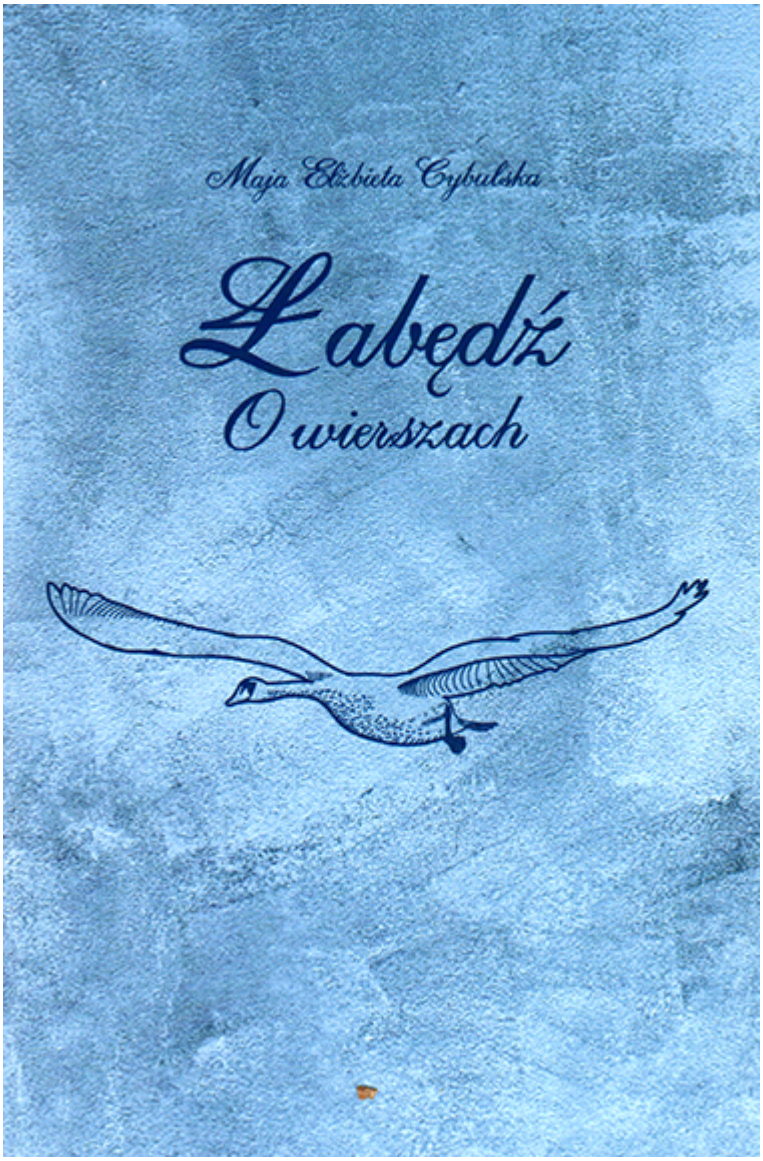

Świat należy do niewrażliwych. B. J. Jenne.

Caracas, Wenezuela.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wielu Polaków przeszło koleje godne epopei. Do nich zaliczę Beniamina Józefa Jennego urodzonego w Warszawie w 1913 roku. Oddany od wczesnych lat ideologii lewicy po wojnie znalazł się w zarządzie miasta Warszawy. Nie mogąc pogodzić się z rozwojem sytuacji politycznej, już w roku 1948 uszedł do Szwecji.

W tymże roku kończyłem studia uniwersyteckie w Irlandii, kiedy do portu w Cork zawinął okręt z demobilu „Victoria" wiozący kilkuset uchodźców z krajów bałtyckich. Płynęli oni ze Szwecji do Kanady, aby próbować szczęścia w Nowym Świecie. Byli to głównie Liwini, Łotysze i Estończycy, ale znajdowali się wśród nich również Polacy. Tak poznałem Jennego i jego żonę.

Władze irlandzkie statek, jako nie nadający się do transatlantyckich wojaży, zatrzymały. Do uchodźców po czasie przyjechali kanadyjscy urzędnicy emigracyjni, by ich przesłuchać. Zakwalifikowali wszystkich, ale odrzucili Jennego. Przeszłość tamtych, choć nieraz podejrzana, nie stanowiła przeszkody. Polaka natomiast nie przyjęli, chociaż chronił się przed stalinowską opresją.Wydał się wszechwładnemu urzędnikowi niebezpiecznym socjalistą. Musiał wracać do Szwecji już z synem urodzonym tymczasem w Irlandii, kóremu dano na imię Patryk. Jenne po czasie dostał wizę do Wenezueli. Był to jedyny kraj, który mu uchylił drzwi. W Caracas zaczęło się więc nowe dla niego życie, na świat przyszedł drugi syn, Karol. Jenne po

różnych próbach otworzył zakład galwanizatorski w śródmieściu stolicy.

Bawiąc w 1979 roku w Caracas skorzystałem z przerwy między sesjami naukowymi odbywającemi się w gmachu Ministerstwa Oświaty, poszedłem na ozdobionym konnym pomnikiem oswobodziciela kraju plac Bolivara. Na ten plac wychodziły okna warsztatu Jennego. W ciasnym lokalu na wysokim piętrze stały przyrządy obok słoików i basenów, w których elektroliza przenosiła złoto na zawieszone na przeciwnym biegunie przedmioty, spotkałem powtórnie, po nieomal trzydziestu latach, mężczyznę już o przyprószonych siwizną włosach ale rogatym nadal duchu. Pod telefonem wiszącym na ścianie stał niewielki stół a na nim stara maszyna do pisania, na której przez wiele lat wystukiwał swoje teksty pomimo odgłosu maszyn, dzwonka telefonu i nachodzenia klientów. Potrafił się skupić, odciąć od świata i robić swoje w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Pozbawiony naturalnego pola do działania, Jenne, człowiek akcji, całą swoją energię przelewał na papier. Zaczął pisać na serio już w Szwecji i szybko utorował sobie drogę do czasopism emigracyjnych jako zadziorny publicysta, poeta i pisarz.

W tomie wierszy „Smagły wiatr ” (1959) uwagę zwraca drukowany także w paryskiej „Kulturze” wiersz krytykujący warunki, w jakich znajdowali się ludzie myślący innymi kategoriami i nie akceptujący wytworzonej sytuacji. Tytuł innego wiersza „Nie pójdę do Canossy” mówi sam za siebie. Po zbiorze „Czarne poematy z dyliżansu” (1963) wydał prozę „Aspazja, on i ja” (1964), w której ironicznie polemizuje z Witoldem Gombrowiczem i Jerzym Giedroyciem. Do poezji powrócił w „Erotykach” (1970), ale najsilniejszą jego pasją była ideologia.. W 1966 roku opublikował książeczkę „O ideowy profil emigracji” dedykowaną trzynastce młodych pisarzy londyńskiej grupy „Kontynenty” widząc w ich publikacjach zdrowy ferment i próby szukania wyjścia z krępującego partykularza.

Publikując książkę „Materia prima” w 1971 roku rozprawił się z marksizmem odmawiając mu warości naukowych. Jenne uważa się za prekursora takiego widzenia marksizmu, podzielanego obecnie przez wielu specjalistów. Na emigracji książkę przyjęto milczeniem. Jedynie Józef Mackiewicz poświęcił jej obszerny komentarz. Jenne zapowiedział kontynuowanie dyskusji, zgromadził wiele materiałów, celem zastanowienia się nad kierunkiem, jaki winna obrać lewica intelektualna, by wyjść z rozdroży, na których się znalazła. Wśród innych prac przygotował studium o

Sołżenicynie zgłaszając pod jego adresem szereg zastrzeżeń,

Jenne nie stroni od kontrowersji i uważa, że tylko w ciągłym rewidowaniu naszych pojęć możemy mieć pewność, że kroczymy po właściwej drodze. Jego artykuły polemiczne pojawiały się na łamach „Kultury”, „Wiadomości”, „Kontynentów”, „Merkuriusza”, „Nowego Znaku” i innych emigracyjnych pism. Niemniej wespół z nieortodoksyjnymi publicystami po pewnym czasie z nich zniknął. Nieobecność tłumaczył brakiem wolnych trybun dla wypowiedzi innych niż obowiązujące i że brak szerokiego wachlarza poglądów na sprawy publiczne był rezultatem polityki wydawców emigracyjnych. Dlatego, jego zdaniem, ucichło wielu ludzi twórczych. Mogli by się oni znowu pojawić i zaangażować, gdyby powstały nowe, niezależne pisma.

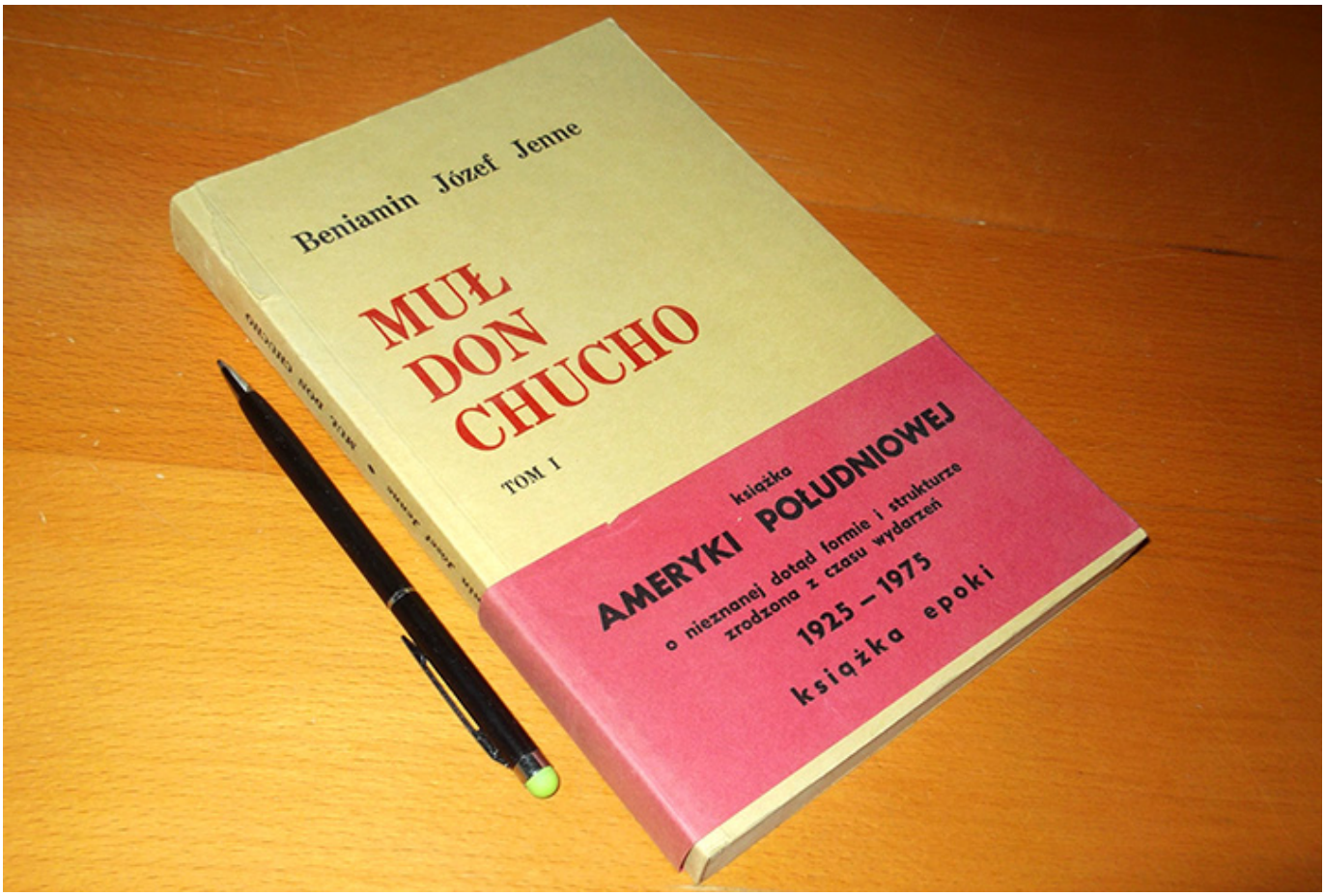

Przez wiele lat Jennego nurtowała myśl, by napisać monumentalną powieść. Chciał odejść od polskiej tematyki, wojennych przeżyć i martyrologii. Mimo trudności finansowych sprowadzał książki i prasę, by się otoczyć bogactwem źródeł. W godzinach po pracy pisał swoje dzieło. Tak powstał „Muł Don Chucho”. W 1962 roku

autor miał już pięćset stron powieści, następne lata spędził na szykowaniu do druku tysiąca stron maszynopisu. Po ukazaniu się fragmentu w tygodniku „Wiadomości” powieść wyszła w roku 1979 w dwu tomach w Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie finansowana przez autora.

Pragnął on w niej ukazać Wenezuelę, kraj, który go przyjął i pozwolił godnie rodzinie się urządzić. W powieści uchwycił lokalny koloryt egzotycznego kraju, warunki życia, wydarzenia kulturalne w przybranej ojczyźnie. Przede wszystkim jednak stworzył epopeję miasta Caracas. Jenne był świadkiem przemiany miasta z glinianego w żelbetonowo-szklane z wszelkimi tak szybkiego przeobrażenia konsekwencjami. Pokazał w książce panoramę pięćdziesięciu lat, od ostrej dyktatury lat dwudziestych, do zwycięstwa partii demokratycznej w 1973 roku, w której pokładał wielkie nadzieje. W powieści przewijają się politycy, wojskowi, urzędnicy, finansiści, inżynierowie i architekci, kupcy i robotnicy rolni, Indianie i Metysi a także cudzoziemcy, wśród których nie brak Polaków uczestniczących w wielkiej przygodzie przebudowy stolicy i społeczeństwa.

Doskonale wypadła egzotyka Wenezueli, spotkania z bykami, grzechotnikiem, pelikanami, krwiożerczymi rybami, kajmanem czy meduzą. Szczególnie zapisuje się w pamięci mocny epizod spędu bydła i powódź spowodowana wylewem rzeki Apure. Również zmaganie się cywilizacji z barbarzyństwem, temat wielu znamiennych powieści z ubiegłego okresu literatury Ameryki Łacińskiej, znalazły u Jennego interesujący nowy aspekt. Postrzega on podmywanie całego swojego kontynentu przez komunizm. Autor zdaje się być katastrofistą: świat mu się chwieje, Stany Zjednoczone łaje za brak konsekwentnej linii postępowania, Watykan zdaje mu się flirtować niebezpiecznie z Moskwą.

Wiele wątków politycznych rozszyfrujemy bez trudu, inne wymagają klucza, zwłaszcza jeżeli nie zna się Wenezueli. Pobrzmiewa nuta antyinteligencka: profesorom i jajogłowym osobnikom raz po raz się dostaje, nie uchodzi krytyce Picasso czy Penderecki. Antykomunizm autora szkodzi całości stępiając efekt, gdyż czasem jego nieokiełznane wybuchy graniczą z absurdem, kiedy np. pomawia dysydentów o agenturalność. Poznańskie wypadki przypisał prowokacji, na której nie poznali się emigranci i Wolna Europa.

Spostrzec łatwo, że szereg jego postaci mówi i myśli tak jak autor, do tego tonem rezonerskim i moralizatorskim. Wprawdzie nie brak Jennemu zacięcia satyrycznego, ale komizmu w jego książce znajdziemy niewiele. Są natomiast fragmenty wypieszczone, jak choćby bardzo osobiste stronice poświęcone malarzom wenezuelskim, których płótna wiszą w Galerii Narodowej w Caracas. Forma książki, podział na eseje i szkice, nie każdego przekona, bo niektóre eseje wydadzą się zbyt mało organiczne, a nadmiar wątków zaciemnia nurt powieściowy. Za sukces natomiast uważam wielowątkowe rozegranie sceny zabójstwa Juana, gdzie każdy wątek zazębia się o tę scenę i nie tylko wzbogaca incydent, ale także dynamizuje całą akcję.

Gorzkie uwagi kierowane są również do Polaków, kiedy mowa jest o megalomanii małych narodów obnoszących się bez końca ze swoją parą wybitnych ludzi. *Ex post* powie o mizernych rezultatach współpracy Polaków z Zachodem .

> *W Warszawie będą Rosjanie i sojusznicy skwitują nas orderami i gażami dla kilku generałów. Tak się też wasza zabawa w zachodniość zakończy!*

O twórczości polskich pisarzy emigracyjnych sarknie:

> *Szesnastu emigracyjnych pisarzy pisze szkice o Mickiewiczu, sześciu o Norwidzie, trzech o Krasińskim, jeden o ewakuacji Funduszu Obrony Narodowej i tylko jeden pisze powieść o jeszcze na razie nieustalonym tytule.*

W powieści rodacy wypadli trochę za dobrze. Są malowani i szlachetni. Nawet Wenezuelka, Judyta, wychowana w Warszawie przez siostry urszulanki „wdzięk, kulturę i styl obejścia miała panien z kresowych, arystokratycznych dworów polskich”. Zanotowałem ze zrozumieniem przedstawioną rozterkę emigranta, który nie zdołał oderwać się od ojczyzny, a nie stanie się częścią nowej, bo nie potrafi zaakceptować jej odmienności. Autor dopowie, że świat należy do niewrażliwych.

Odniosłem wrażenie, że powieść jest zbyt ambitna, próbująca brylować na zbyt wielu płaszczyznach, co przy pasji autora nie mogło wypaść bez zastrzeżeń. Wszystkiego w niej za dużo, za mało zdyscyplinowania. Oddech ma natomiast szeroki, bo pokusiła się, by dać epicki zapis rozwoju i przeobrażeń dalekiego kraju.

Powieść to niezwykła z zadatkami na bardzo dobrą. „Muł Don Chucho” (czytaj ‘czuczo’) to ogromna bryła kamienia, z której dałoby się wykuć idealniejszy kształt, to niepełne światło, bo przysłonięte skazą.

Wielki wysiłek autora, zarówno twórczy jak i materialny, nie znalazł stosownego uznania. Brak czytelnika na emigracji, a nieobecność książki w Polsce, stworzyły fatalną sytuację. Do tego autor poważnie zaniemógł. Czyż uratowanie marnującego się w Anglii nakładu nietuzinkowej książki jest rzeczą niemożliwą? Sądzę, że autor odstąpiłby cały zapas osobie czy instytucji, chcącej i potrafiącej książkę przewieźć i rozprowadzić w Polsce. Może ktoś spróbuje?

„Delta czasu” – pamięć o powojennej historii Polski w zapiskach, wspomnieniach i wierszach Floriana Śmieji

Florian Śmieja w mundurku gimnazjalnym z młodszymi braćmi Alojzym (po lewej) i Jerzym (po prawej stronie) oraz kolegami. Kończyce, 17 sierpnia 1938 roku.

Aleksander Trojanowski *(Wrocław)*

W Bibliotece Śląskiej ukazała się w ubiegłym roku książka *Delta czasu* autorstwa Floriana Śmieji, wybitnego polskiego iberysty, tłumacza i poety, zamieszkującego w Mississauga (Kanada). Książka zbiera notatki i zapisy o charakterze wspomnieniowym, ukazując jej autora jako tłumacza w najszerszym sensie tego słowa – mediującego na co dzień między kulturą polską, kanadyjską, brytyjską, hiszpańską czy szerzej – między różnymi kulturami Zachodu. Zachęcając czytelników, by sięgnęli do tekstów autora, spróbuję pokrótce wskazać tu jej główne wątki.

> *Poeta angielski napisał, że żaden człowiek nie jest wyspą, że nie służy mu zasklepianie się w sobie. Może więc raczej przypomina konfluencję delty, wody w*

ruchu, mieszającej flukty w gromadzących się dopływach, aglomerat niesionych osadów, zalew, dorzecze, labirynt tętniący ruchem i życiem, penetracją, nieustannym sączeniem i podmywaniem lądu[1].

W ten znaczący sposób Florian Śmieja rozpoczyna swoją książkę. Znaczący, bowiem sens, którym uzupełnia słynną frazę Johna Donne'a wyraża jej ideę przewodnią. Człowiek, jak się wydaje, to jego historia – zarówno ta „mała historia", którą o sobie opowiada, jak i „wielka" historia, która kształtuje jego życiorys, ale którą też po części sam stwarza. Pamięć minionych wydarzeń okazuje się przede wszystkim „labiryntem tętniącym ruchem i życiem" – zapisem spotkań z innymi ludźmi. Jest to z pewnością niezwykle wartościowy rys wspomnień Floriana Śmieji – pamięć indywidualna okazuje się zarazem pamięcią wspólną, a osobiste zapiski autora ocalają pamięć nie tylko o jednej, ale o wielu biografiach. Portret emigracji wojennej – ale przecież nie tylko, bo ukazane zostały także postaci, z którymi autor zetknął się jako człowiek nauki, poeta i tłumacz – nakreślony jest z czułością, ale i koniczną dozą krytycyzmu, które bezsprzecznie nadają książce walor dokumentu pewnej epoki.

Wspomnieniom Floriana Śmieji towarzyszy zarazem – z racji samej natury poruszanej w niej materii – atmosfera pewnego kresu. Jak pisze sam autor, „jesteśmy świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej"[2]. Jest to więc zatem próba opowiedzenia jej historii z perspektywy świadka, czy raczej, jak należało by powiedzieć – uczestnika zdarzeń, a więc opowieść z pierwszej ręki. Proponuję, byśmy dla potrzeb tego krótkiego omówienia przyjęli punkt widzenia czytelnika, który nie wie – nie wie, kim są sportretowane w książce postaci, nie zna kontekstu opisywanych wydarzeń, ani ich znaczenia. Jest to bowiem czytelnik, który będzie przyszłym odbiorcą tej książki. Czego się z niej dowie?

Wypada zacząć od tego, jak sam autor określa cel swojej książki:

Moje wspomnienia i noty mają za zadanie przybliżyć niektóre zachowania i wypowiedzi znane mi osobiście i do nich starałem się ja zasadniczo ograniczyć, nie kusząc się o opracowanie wszechstronnych monografii. Te okruchy i fragmenty doświadczeń z autopsji, z pierwszej ręki, cytaty korespondencji, pragnę dorzucić do wiarygodnych przekazów i źródeł wiedzy o najnowszych dziejach Polski, w tym wypadku o emigracji niepodległościowej na Zachodzie, z których będą mogli

czerpać przyszli badacze, historycy i krytycy.[3]

Dostajemy więc do ręki dokument, mający za zadanie zachować wiarygodne informacje o życiu powojennej emigracji na Zachodzie. W dużej mierze przybiera on formę swoistego leksykonu postaci, z którymi zetknął się z różnych powodów autor. Leksykonu, w którym swoje miejsce znajdują zarówno pierwszoplanowi protagoniści powojennej kultury – jak Jerzy Giedroyć, Czesław Miłosz, czy Leopold Tyrmand (by wymienić tylko kilka obecnych na stronach *Delty czasu* postaci), ale również animatorzy i uczestnicy życia kulturalnego Polonii w Anglii i Kanadzie i – co oczywiste – przyjaciele i najbliżsi.

Warto przy tym zaznaczyć, że osobisty wymiar zapisków Floriana Śmieji nie sprowadza się tylko do tego, że wśród opisywanych wydarzeń pojawiają się również bardziej prywatne wspomnienia. Polega on raczej na tym, że jako czytelnicy mamy okazję przyjrzeć się faktom z perspektywy autora. I ta obecność autora w tekście jest niewątpliwie wartością dodaną całej książki, co ujawnia się przykładowo we fragmencie, w którym autor krytykuje wydaną w 1965 roku antologię grupy poetyckiej „Kontynenty", do której sam należał. Gdy Śmieja zarzuca redaktorowi tomu, Andrzejowi Lamowi, manipulację, mamy okazję jak w soczewce zobaczyć, jak aktualna jest stawka, o którą toczy się gra w tego rodzaju pisarstwie historycznym. Choć bowiem czytamy o wydarzeniach ze stosunkowo odległej przeszłości, to widać, jak względną i wrażliwą kwestią jest prawda i jak szczególnie cenną wartością są z tego względu relacje świadków i uczestników wydarzeń.

W szerszym kontekście zebrane w książce notatki, pisane z perspektywy emigranta i poety, który znajduje się niejako pomiędzy kulturą polską a kulturą swojego nowego miejsca zamieszkania, są swoistym przyczynkiem do problematyzacji polskości. Z jednej strony stanowią one przypomnienie, że najnowsza historia Polski nie toczyła się tylko w powojennej Polsce, a więc – innymi słowy – że jest ona nie do pomyślenia bez historii polskiej emigracji. Z drugiej zaś strony, emigracyjne losy ludzi polskiej kultury, a w szczególności poetów, ukazują uniwersalny wymiar ich doświadczenia. Wszak dylematy, przed którymi stawali bohaterowie wspomnień Śmieji, jak np. kwestia języka – czy trzymać się języka polskiego i skazywać na pisarstwo bez publiczności, czy porzucić polszczyznę i pisać w nowym języku – czy choćby

dotyczący szczególnie poetów problem tematu – czy mieszkający w Kanadzie poeta powinien stworzyć w polszczyźnie własny obraz Kanady, czy raczej utrwalać obrazy polskiej przeszłości – to dylematy wspólne wszystkim ludziom kultury, których XX wiek skazał na doświadczenie wychodźstwa.

Wspomnienia Floriana Śmieji, w których, jak się rzekło, odbija się co rusz doświadczenie zamieszkiwania między różnymi kulturami, kontakt z przedstawicielami innych kultur oraz nieustająca konieczność przekładu, pozwoli czytelnikowi spojrzeć dokładniej na sens działalności tłumaczeniowej i naukowej autora. Wspomnienia Floriana Śmieji unaoczniają bowiem, że widoczna na pierwszy rzut oka strona tej działalności jest w pewnym sensie drugorzędna. Tymczasem w swojej istocie, zarówno nauka, jak i przekład umożliwiają spotkanie i wzajemne porozumienie międzyludzkie. Niech ilustracją tego twierdzenia będzie opisana w książce historia przeszczepienia myśli brytyjskiej szkoły calderonistów – specjalistów zajmujących się twórczością hiszpańskiego dramatopisarza Calderona de la Barki – na grunt polski, w którym „maczał palce" profesor Śmieja. Historia ta zaczyna się po wojnie, gdy autor jest uczniem wybitnych brytyjskich calderonistów – Alexandra A. Parkera i Edwarda M. Wilsona. Do zajęcia się Calderonem zainspiruje on następnie napotkaną w Madrycie młodą hispanistkę z Polski, Beatę Baczyńską. Stanie się ona z czasem wybitną specjalistką w tej materii, czego symbolem może być kongres calderonistów, zorganizowany przez nią na Uniwersytecie Wrocławskim w 2008 roku. Widać tu jak na dłoni, że nauka, tłumaczenie, szerzej – zajmowanie się kulturą, to w istocie szereg spotkań, wzajemnych inspiracji i wspólnego działania ponad kulturowymi, czy politycznymi podziałami.

Doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Florian Śmieja wraz z JM Rektorem prof. Markiem Bojarskim i promotorem doktoratu honorowego prof. Beatą Baczyńską. Wrocław, 2015 rok.

Wypada wspomnieć również o poetyckiej działalności Floriana Śmieji, jego wspomnienia pokazują bowiem, w jaki sposób twórczość związana jest z życiem, będąc tak naprawdę częścią tego samego procesu:

> *Budząc się o świcie, staram się z otwierającej się świadomości wyłuskać oryginalny pomysł, jego zawiązek i wyartykułować jego początek. Powtarzam go i dobieram właściwie słowa, aż upewnię się, że posiadam myśl wartą zachowania. Czasem zdarza się, że równocześnie świta drugi pomysł. Próbuję go również ułowić i wtedy wstaję do komputera i usiłuję oba wątki zapisać, by utrwalone stały się budulcem wierszyków. Z tych esencji, czytając je wielokrotnie, szykuję wersję ostateczną, dodając i przetwarzając materiał[4].*

Esencji takich, poetycko przetworzonych wspomnień, na kartach książki nie brakuje.

Esencjonalność jest zarazem ogólnym rysem tej książki. Na koniec pozostaje bowiem

zdumienie, że tak wiele historii, osób, problemów zmieściło się na przestrzeni niecałych dwustu stron. Zapiski Floriana Śmieji są w tym sensie także lekcją pokory i przypomnieniem o tym, jak ulotna i wybiórcza jest pamięć. Czas, który obszerna monografia zredukowałaby może do paru wyrazistych postaci i kliku kluczowych faktów, rozrasta się tu i – co najważniejsze – zaludnia szeregiem barwnych i ciekawych postaci. Warto o nich czytać, żeby nie zapominać i żeby poznawać historie takie jak przytoczona w książce historia ludności pewnej śląskiej wsi, która w całości wyemigrowała do USA pod przewodem księdza Leopolda Moczygęby, zabierając ze sobą ziarno siewne, pług, krzyż i dzwon kościelny, by w 1854 roku założyć w Teksasie miejscowość Panna Maria. Takich nieoczywistych a znaczących historii znajdzie czytelnik w *Delcie czasu* więcej.

Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018.

[1] Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018, s. 9.

[2] *Ibidem*, s. 7.

[3] *Ibidem*, s. 8.

[4] *Ibidem*, s. 9-10.

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Barbary Gruszki-Zych

Od lewej: Elżbieta Grocholska-Zanussi, Krzysztof Zanussi i Barbara Gruszka-Zych,

fot. Witold Modrzejewski.

„Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Barbary Gruszki-Zych, to pierwsza książka pokazująca dotąd mało znane życie prywatne Krzysztofa Zanussiego i jego żony Elżbiety. Tę sferę wybitny reżyser przez lata otaczał dyskrecją. Jego legendarna powściągliwość i arystokratyczny dystans sprawiają, że jest osobowością nie dającą się zamknąć w żadnym schemacie. Książka Gruszki-Zych pozwala jednak dotknąć tajemnicy Zanussiego, którą w dużym stopniu pomaga odkryć jego żona Elżbieta. Oboje są artystami, ale o malarstwie Elżbiety, wywodzącej się z arystokratycznej rodziny Grocholskich i Czetwertyńskich, jest mniej głośno. Dała mężowi pierwszeństwo, uznając, że to on ma większy talent i możliwości oddziaływania, bo jego dzieła filmowe mogą „dotknąć czyjejś duszy” bardziej niż jej obrazy. Rzeczywiście, bez jego filmów, takich jak „Imperatyw”, „Barwy ochronne”, „Cwał”, „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową” nie można sobie wyobrazić polskiego ani europejskiego kina. Znakomity reżyser jeszcze nigdy nie dopuścił w rozmowie tak blisko nikogo ze swoich rozmówców. Na skrócenie dystansu wpłynął fakt, że prowadząca ją Barbara Gruszka-Zych przyjaźni się z nim i jego żoną od ponad dwudziestu lat, co, naturalnie, narzuca inną perspektywę. Autorka jest dziennikarką, ale też poetką, czemu daje wyraz w tej rozmowie-rzece. Kilka lat temu opisała przyjaciela Zanussiego – wybitnego kompozytora Wojciecha Kilara w cieszącej się zainteresowaniem książce „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara”. Tytuł „Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” tym bardziej zasługuje na uwagę, że w tym roku reżyser świętuje swoje 80 urodziny.

Książka jest dostępna w księgarniach od 8 maja. Można ją nabyć wchodząc na landingpage: zanussi.dzialaniawizualne.pl

Elżbieta Grocholska-Zanussi, Krzysztof Zanussi i Barbara Gruszka-Zych, fot. Wydawnictwo Działania wizualne

O uczuciach

Elżbieta Grocholska-Zanussi: Prawdę powiedziawszy można by się w życiu zakochać ze sto pięćdziesiąt razy i próbować, czy z danym partnerem lepiej się przeżyje kolejnych kilka lat, ale to jest założenie zupełnie idiotyczne, bo wtedy następuje kolosalny rozkład życia.

Krzysztof Zanussi: Pamiętam kluczową dla tego tematu rozmowę, jaką odbyłem w telewizji rosyjskiej. To były lata dziewięćdziesiąte, miałem wtedy dopiero sześćdziesiąt lat. Prowadząca ją panienka pełna dobrych chęci z naiwnością zapytała mnie: „Dlaczego ma pan tylko jedną żonę? Przecież jest pan znany, jest pan bogaty i

zna pan piękne kobiety. Mógłby mieć pan takie urozmaicone życie. Nie ma pan na to czasu czy może to pana nie interesuje?”. Mój kłopot polegał na tym, że najpierw musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie: „Co ja teraz chcę przekazać milionom oglądających ten program, którzy tak samo jak ta dziennikarka nic z mojego świata nie rozumieją?”. Powiedziałem jej wtedy o grze „Monopoly” i do dziś uważam, że to był wynik interwencji Ducha Świętego. Oni się wtedy w Rosji bardzo pasjonowali tą kapitalistyczną grą. Jej uczestnicy zdobywają punkty, a zwycięża ten, kto zgromadził ich więcej. Stwierdziłem przed kamerami: „Myśmy z żoną zdobyli bardzo dużo punktów. Jakby trzeba było to wszystko skasować do zera i z nową partnerką musiałbym zaczynać od nowa, to byłaby ogromna strata, bo już nigdy tylu punktów nie zdobędę”. Po latach wspólnego życia bez obaw mogę postawić tezę, że miłość to ciężka praca, a nie jakiś powiew namiętności. W kwestii namiętności mamy spore doświadczenie, obserwując zachowania naszych psów.

E.G.-Z.: Miłość to stały rozwój, który się osiąga ciężkim wysiłkiem. Gdyby z niego zrezygnować, trzeba by za każdym razem biec za kimś, jak to robią nasze psy, kiedy budzi się ich instynkt.

K.Z.: To odniesienie wymyśliliśmy wspólnie i ono nie jest bez sensu. Moja żona na co dzień przygląda się psom, a ja nieraz miałem możliwość obserwowania zachowań zakochanych koni. To, co się wtedy z nimi dzieje, zadziwia. Z tym, że ich wzajemne zainteresowanie jest intensywne, ale trwa niezwykle krótko. Jeśli widzę, że zakochani okazują sobie miłość tylko przez „wzdychulce”, jak je na nasz użytek z Bietką nazwaliśmy, to, na miłość Boską, mnie to nie wzrusza. Wyjątkowo nie znoszę tych pełnych emocji porywów, przewracania śliskimi oczami, dawania do zrozumienia, że coś się w człowieku zagotowało. Namiętność nie jest tak zupełnie błaha. Myślę, że fakt, żeśmy się zeszli już jako starsi ludzie, też wpływa na to, jak ją postrzegamy. Wiek troszkę ją sublimuje, ale za to relacje robią się głębsze. Po moich studentach widzę, jak inaczej przeżywa uczucia pokolenie, które nie wyrosło na miłości płomiennej, wywodzącej się z tradycji romantycznej. Młodzi stawiają sobie pragmatyczne pytania: „Dlaczego kogoś kocham i co ten ktoś może mi zaoferować?”. (…) Dzisiaj ludzie całkowicie zapominają, że człowiek jest władny powodować sobą. Twierdzenie, że każdy z nas jest skazany na występne postępowanie, jeśli okoliczności go do tego zmuszą, to błąd. Wielu uważa, że kiedy spotyka kogoś atrakcyjnego, to natychmiast musi z nim zdradzić współmałżonka. Podobnie, kiedy

spostrzega, że coś smacznego leży na stole, to zaraz po to sięga. Człowiek jest wolny i w każdej chwili podejmuje wybór, który jest albo dobry, albo zły.

E.G.-Z.: Gdybym w pewnej chwili się zorientowała, że dla mnie ważny jest jakiś inny mężczyzna wtedy natychmiast powiedziałabym Krzysztofowi, żebyśmy wspólnie spędzali więcej czasu, troskliwiej zajmowali się sobą, bo znalazłam się w niebezpieczeństwie. Nie musiałabym od razu z tym drugim iść do łóżka, a jednak czułabym, że trzeba interweniować… Nie znoszę mówienia o seksie, bo to jest tak prymitywne. Miłość to przede wszystkim straszliwy pociąg, którego bardzo ciężko się pozbyć. Trudno zachować takie relacje jak święty Franciszek i święta Klara. Myślę, że oni przeżyli coś niewiarygodnego, ale na poziomie metafizyki, a nie fizyczności. Wzajemne pożądanie przebywania ze sobą sprawiło, że Klara wstąpiła do założonego przez Franciszka zakonu. Pewnie musiała mu tłumaczyć: „Bracia będą się z ciebie śmiać, no to ja zakładam drugi klasztor, a ty będziesz mi pomagał, żeby był równie dobry jak twój”. Mam przekonanie, że straszliwe pożądanie doprowadziło ich do wspólnego odkrycia miłości Boga, która okazała się dużo mocniejsza.

Elżbieta Grocholska-Zanussi, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Miłość młodzieńcza

K.Z.: (...) Niedawno zmarła osoba, z którą w młodości byłem bardzo blisko, w której byłem bardzo zakochany. Dużo by o tym opowiadać, ale od tamtej pory zostało mi przekonanie, że warto swoje emocje hamować na wszystkich szczeblach. Do dzisiaj trwa we mnie takie zapętlenie uczuć w sobie.

E.G.-Z.: W skrócie trzeba by powiedzieć, że miłością Krzysztofa z młodzieńczych lat…

K.Z.: …nie miłością, ale pasją… Ja całą jej złą stronę widziałem od początku, a mimo to z nią byłem.

E.G.-Z.: Pasją? A co to jest pasja?

K.Z.: Coś jak namiętność…

E.G.-Z.: No więc Krzysztof ogromnie zainteresował się osobą niesamowicie zdolną pisarsko, drukującą w pismach, przebojową…

K.Z.: …postawioną dużo wyżej ode mnie w hierarchii światka artystycznego. Monika była wtedy w centrum salonu literackiego. Dziś oglądalibyśmy ją na pierwszych stronach kolorowych magazynów.

E.G.-Z.: Ja nie miałam z tym światem nic wspólnego.

Ale ta osoba wyszła za innego pana…

K.Z.: …mojego przyjaciela zresztą.

E.G.-Z.: Zajął się nią, korzystając z nieobecności Krzysztofa w Polsce.

K.Z.: Nie, Bietko, przede wszystkim skorzystał z mojego niezdecydowania. Nie wykazywałem żadnej konkretnej inicjatywy.

E.G.-Z.: Krótko po jej ślubie odezwała się straszliwa, niszcząca dalsze życie choroba.

K.Z.: Ta choroba była motorem mojej fascynacji nią. Schizofrenia ma postać tak urzekającą, że można dać się jej uwieść. Czytam o tym, słyszę i widzę to u wielu innych osób. Mają momenty, kiedy posiadają jakąś zupełnie uwodzicielską siłę, prawie magiczną moc zaklinania świata. Z tym, że choroba Moniki wybuchła później, nie wtedy, kiedy się znaliśmy. To moje krycie emocji wzięło się z tamtych czasów a poza tym jestem przekonany, że uczucia trzeba ukrywać, żeby je dobrze pokazać, bo bez tego nie mają formy. Kiedy ją tracą, tracą też wiarygodność. Muszę przyznać, że jestem bardzo wrażliwy na fałszywość uczuć. Źle to znoszę i budzi to we mnie wielki wstręt. Wiem też, jak łatwo nimi manipulować. Często bohaterowie moich filmów manipulują innymi. Ci, żywiący prawdziwe uczucia, są wodzeni za nos przez tych, którzy je udają, zwodząc ich. Tego się zawsze w życiu bałem. Może moje wyczulenie wzięło się właśnie z tamtych czasów? Zresztą to dotyczy spraw nie tylko osobistych, ale również uwiedzenia przez idee. Uwiedzeni nimi przeżywają złą miłość podobnie

jak to się dzieje w stosunkach osobistych.

Krzysztof i Elżbieta Zanussi po pokazie filmu „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona droga plciowa”, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Krzysztof i Elżbieta Zanussi na plaży w Australii, fot. arch. K. i E. Zanussich.

Życie codzienne

E.G.-Z.: Wspólnego czasu z Krzysztofem nigdy nie mieliśmy za dużo… Po ślubie bardzo się starałam, żeby nie zabierać go na wyłączność mamie Krzysztofa, z którą dotąd mieszkał, i przy tej okazji muszę się pochwalić jedną moją zaletą. Kiedy wracał z podróży, to mama siadała przy nim w fotelu i towarzyszyła mu bez względu na to, czym się zajmował. Wtedy kompletnie się wycofywałam, rozumiejąc, że to są ich ostatnie lata i trzeba dać im ten czas.

K.Z.: Mama dożyła prawie setki, a my nasze małżeństwo zawarliśmy po czterdziestce.

E.G.-Z.: Wycofywałam się w sytuacjach, kiedy każda młoda żona trzasnęłaby drzwiami. Znam parę przykładów, pokazujących, jak zaborczość matek szkodzi związkom ich dzieci. Przychodzi mi do głowy sytuacja mojej siostrzenicy z Włoch, której teściowa pierwsza podchodziła do drzwi i przed nią witała wracającego syna. Kiedy młoda żona chciała zawisnąć mu na szyi, to się stawało po prostu niemożliwe. Usuwanie się na drugi plan w podobnej sytuacji było dla mnie pewnym poświęceniem, które uważałam za słuszne.

K.Z.: A jednak czasem wasze relacje nie były łatwe. Nie kształtowały się wyłącznie naturalnie, ale za sprawą świadomej woli. Byłem już starym chłopem i dotąd mama miała mnie na sto procent. Kiedy w życie syna po czterdziestce wkracza inna kobieta, katastrofa jest gwarantowana. Mało tego, chwilę po naszym ślubie mama zamieszkała u nas. Dotąd była królową w swoim domu, a nagle znalazła się u kogoś.

E.G.-Z.: Szalenie sobie ceniłam to, że mama nie chciała mi w niczym zrobić krzywdy, nie utrudniała mi życia. Myślę, że od początku zdawała sobie sprawę, że i tak będzie niełatwe. Bardzo kochała Krzysztofa, a przez niego i mnie. Wydaje mi się, że Krzysztof jest do niej podobny. Zachowywała nieustanną młodość, co wyszło na jaw na spotkaniu z hiphopowcami, którzy występowali przed Janem Pawłem II, a potem przyszli zatańczyć dla niej. Nie mogła się z nimi nagadać, jakby była ich równolatką. Krzysztof też stale ma wykłady dla młodych. Jednak cechowała ją też nieufność do świata, którą on od niej przejął. Za to umiała sobie radzić z wieloma problemami i nie obarczała nimi innych. Gdy przeżywała trudności w życiu małżeńskim, to bardzo pięknie potrafiła się w tym wszystkim znaleźć. Nigdy też nie narzekała na swoje zdrowie.

K.Z.: Mama trzymała klasę. Spokojnie przyjęła do wiadomości, że nie wolno jej się szarogęsić w naszym domu. Umiała przygotować kilka dobrych dań, ale generalnie nie była artystką kuchni. Właściwie jedyną potrawą, którą przyrządzała lepiej od ciebie, była jajecznica. W zasadzie we wszystkim jesteś dużo lepsza i mama umiała to przyznać.

E.G.-Z.: Co ty mówisz! Przecież mama piekła też genialny sernik! Była bardzo sprawna manualnie i technicznie, i starała się sama wykonywać różne prace. Ale widziałam też, jaki czuje zachwyt, gdy przebiłam ją w praktycznych i technicznych

umiejętnościach. Na przykład robiłam obiad w piętnaście minut…

K.Z.: A mama w dwadzieścia …

E.G.-Z.: A przyjęcie dla pięćdziesięciu osób przygotowywałam w ciągu dwóch i pół godziny. I do dziś nie jest to dla mnie większy problem. Naprawianie kontaktu zajmowało mi tylko chwilę. Kiedy widziałam zepsuty kran, z którego leje się woda, to za moment już się nie lała. Kiedy zauważyłam, że kółko od jej fotela się odczepiło, już po chwili musiało być na swoim miejscu. Mama te moje działania doceniała i szczerze mi to okazywała. To było nadzwyczajne!

(…) Kiedy ktoś się do nas tak dobrze odnosi, to chce się żyć. I chce się robić jeszcze więcej pożytecznych rzeczy.

Krzysztof i Elżbieta Zanussi oglądają zdjęcia, fot. Wydawnictwo Działania wizualne.

O przemijaniu

K.Z.: (…) Sam nieustannie stawiam sobie rozdzierające pytania, które dręczą mnie od dzieciństwa: „Jak się pogodzić ze śmiercią? Jak się z nią spotkać, żeby to nie była tragedia, katastrofa, kropka? Ile trzeba mieć nadziei i jak ją należy chronić, żeby bez uszczerbku donieść ją do końca?”.

Kiedyś w kenijskiej wiosce byłem świadkiem śmierci młodego Masaja. Miałem wrażenie, że zachowujący wtedy ogromny spokój członkowie jego plemienia wiedzą o odchodzeniu coś, czego nie nauczono mnie na żadnym uniwersytecie. Może posiedli tajemnicę, którą znał też święty Bernard z Clairvaux w moim filmie „Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową”, kiedy spokojnie przygotował skazańca na śmierć jak na jakieś wyjątkowe, ale przecież tylko przejście.

E.G.-Z.: Krzysztof odczuwa lęk przed śmiercią, bo pozostaje bardziej po tej stronie. Jego wiara jest strofowana przez rozum, który prowadzi na manowce. Rozum z wielką niechęcią przyjmuje to, co go obraża, a więc cierpienie, choroby psychiczne, śmierć. Dlatego przed faktem śmierci czasem dębieje ze strachu. Kiedy na końcu jego filmu „Życie jako śmiertelna choroba” Zapasiewicz mówi do studenta medycyny: „Tnij, to tylko ciało”, jest świadomy istnienia innej perspektywy. Gniecie nas ciało, rozum i psychika, ciągnąca do marności. Poprzez nie odczuwamy cierpienie, zazdrość, nienawiść – to gniazdo os, które chce nas zniszczyć. Piękno i dobro przychodzą z góry. Miejmy nadzieję, że dzień śmierci to będzie nasz najpiękniejszy dzień. (…) Im człowiek starszy, tym bardziej tęskni za zrzuceniem ciała. Czuje, jak jego siły zostają podcięte. Tam klucze zapomniane, tu samochód stuknięty…

K.Z.: Tyle mówimy o umieraniu, a czemu nie przypomnieć teraz słów Goethego: „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”. Nie zwalniam tempa – w ciąż pracuję na dwóch etatach. Nadal, realizując filmy, odczuwam radość, że wymyślony przeze mnie obraz ożył. A jeszcze większą wtedy, gdy widzę, że ktoś w niego uwierzył. Muszę przyznać, że w jakimś sensie nie doświadczam jeszcze żadnych ograniczeń wieku. Wciąż podróżuję, latam czasem dwa razy w miesiącu do Stanów i jestem w stanie to wszystko przetrzymać. Im mniej chwil pozostało, tym bardziej się nimi cieszę. Tyle miłości mnie w życiu spotkało, tyle piękna zaznałem. Chciałbym to przeżywać jak najdłużej i nie oczekuję niczego więcej. (…) To, co jest – jest wspaniałe. Choćby ten uroczy moment w naszym ogrodzie. Mówię: „Niech ta chwila trwa”, choć mam 80

lat.

Barbara Gruszka-Zych, Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem, wyd. Działania wizualne, 2019.

Polska mgła w Londynie

Leszek Żuliński

Z pewnym opóźnieniem trafił ten tomik do moich rąk, ale warto o nim cokolwiek napisać i przede wszystkim nagłośnić mało znaną w Polsce autorkę, która od lat mieszka w Londynie. Tutaj zresztą, w Polsce, wydała kilka swoich tomików. W Londynie jest aktywna – współredaguje tam pismo „Pamiętnik Literacki"; należy do miejscowego Pen Clubu. Debiutowała tomikiem pt. *Dziewanna* (1985), ma także sporo innych publikacji, także tomiki wydane w języku angielskim. Jednym słowem, Mickiewicz żyje literaturą. M.in. jest laureatką medalu Gloria Artis.

Zawsze mnie intrygowało, jak po wielu latach emigracji można pisać wiersze do głębi nasiąknięte polską dykcją. U Pani Anny Marii Mickiewicz jest to całkowicie naturalne.

U niej między kanałem La Manche a Wisłą odległość wciąż jest malutka. Oto wiersz pt. *Wieczorami śnię*:

Widzę tańczące dziewczęta

Rozległe bagniska

Wśród łąk

Ktoś śpiewa na Białorusi…

Zamarznięty obraz dzieciństwa

Zatrzymany

Jak w szklanej kuli

Jeżeli wrócę w rodzinne strony

Boję się, że sen ucieknie.

Sentymenty przeszłości są jednym z budulców tych wierszy. Ale nie tylko one. Autorka często nawiązuje do swoich egzystencjalnych spleenów, jak w tym wierszu pt. *Buty*:

Spotykam ludzi

Obserwuje ich buty

Zdarzają się ciche

I te schodzone

Nie świadczą o zamożności

Niby wygodne

A ograniczają

Wybieramy te, które przeszły wiele mil

Wybieramy nasza własną cichą drogę

Odchodzenia

Przechodzenia przez życie

Wędrówki w kierunku zachodu słońca

Ale nigdy poranka…

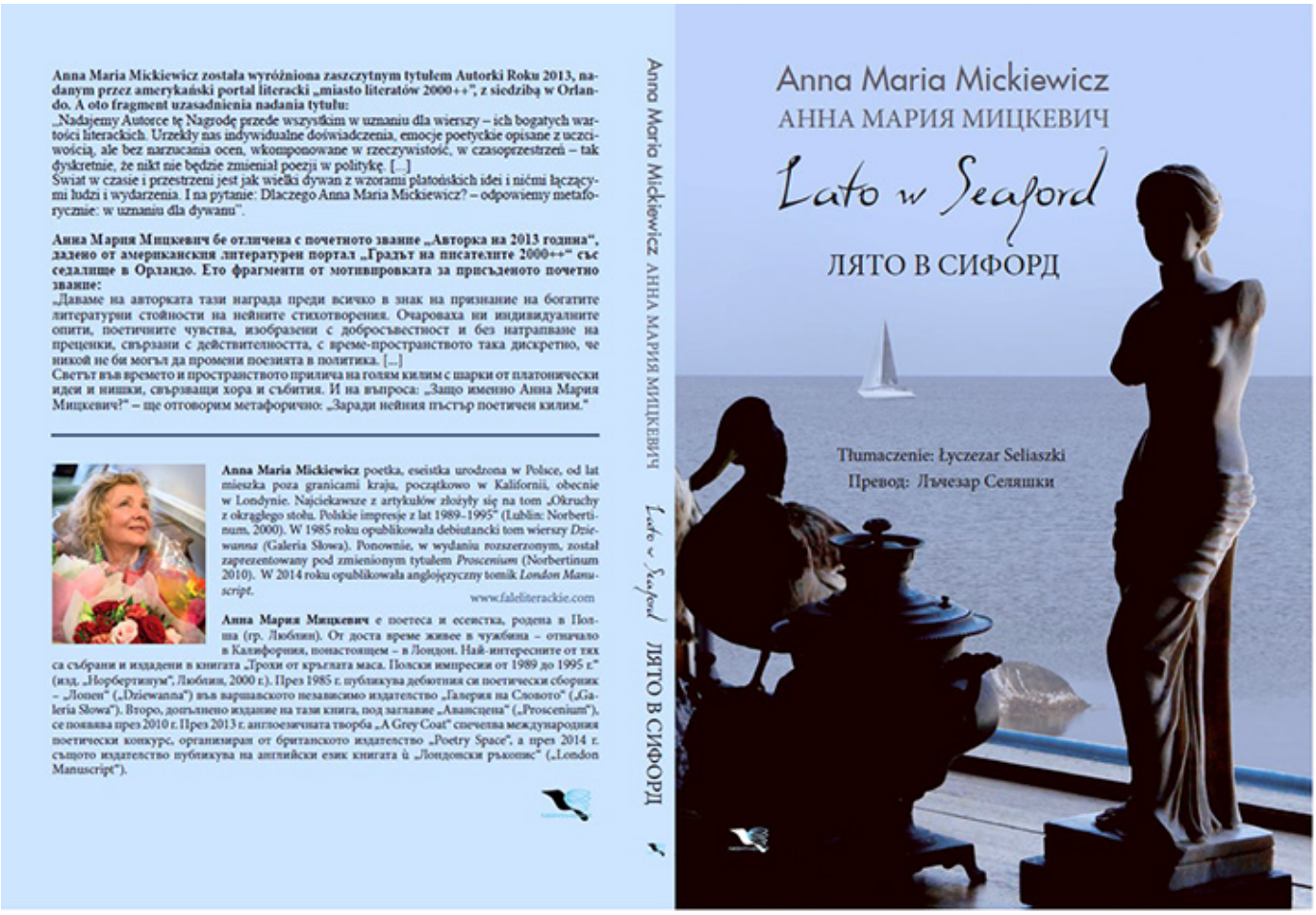

Anna Maria Mickiewicz została wyróżniona zaszczytnym tytułem Autorki Roku 2013, nadanym przez amerykański portal literacki „miasto literatów 2000++", z siedzibą w Orlando. A oto fragment uzasadnienia nadania tytułu:
„Nadajemy Autorce tę Nagrodę przede wszystkim w uznaniu dla wierszy – ich bogatych wartości literackich. Urzekły nas indywidualne doświadczenia, emocje poetyckie opisane z uczciwością, ale bez narzucania ocen, wkomponowane w rzeczywistość, w czasoprzestrzeń – tak dyskretnie, że nikt nie będzie zmieniał poezji w politykę. [...]
Świat w czasie i przestrzeni jest jak wielki dywan z wzorami platońskich idei i nićmi łączącymi ludzi i wydarzenia. I na pytanie: Dlaczego Anna Maria Mickiewicz? – odpowiemy metaforycznie: w uznaniu dla dywanu".

Анна Мария Мицкевич бе отличена с почетното звание „Авторка на 2013 година", дадено от американския литературен портал „Градът на писателите 2000++" със седалище в Орландо. Ето фрагменти от мотивировката за присъденото почетно звание:
„Даваме на авторката тази награда преди всичко в знак на признание на богатите литературни стойности на нейните стихотворения. Очароваха ни индивидуалните опити, поетичните чувства, изобразени с добросъвестност и без натрапване на преценки, свързани с действителността, с време-пространството така дискретно, че никой не би могъл да промени поезията в политика. [...]
Светът във времето и пространството прилича на голям килим с шарки от платонически идеи и нишки, свързващи хора и събития. И на въпроса: „Защо именно Анна Мария Мицкевич?" – ще отговорим метафорично: „Заради нейния пъстър поетичен килим."

Anna Maria Mickiewicz poetka, eseistka urodzona w Polsce, od lat mieszka poza granicami kraju, początkowo w Kalifornii, obecnie w Londynie. Najciekawsze z artykułów złożyły się na tom „Okruchy z okrągłego stołu. Polskie impresje z lat 1989–1995" (Lublin: Norbertinum, 2000). W 1985 roku opublikowała debiutancki tom wierszy *Dziewanna* (Galeria Słowa). Ponownie, w wydaniu rozszerzonym, został zaprezentowany pod zmienionym tytułem *Proscenium* (Norbertinum 2010). W 2014 roku opublikowała anglojęzyczny tomik *London Manuscript*.

www.faleliterackie.com

Анна Мария Мицкевич е поетеса и есеистка, родена в Полша (гр. Люблин). От доста време живее в чужбина – отначало в Калифорния, понастоящем – в Лондон. Най-интересните от тях са събрани и издадени в книгата „Трохи от кръглата маса. Полски импресии от 1989 до 1995 г." (изд. „Норбертинум", Люблин, 2000 г.). През 1985 г. публикува дебютния си поетически сборник – „Лопен" („Dziewanna") във варшавското независимо издателство „Галерия на Словото" („Galeria Słowa"). Второ, допълнено издание на тази книга, под заглавие „Авансцена" („Proscenium"), се появява през 2010 г. През 2013 г. англоезичната творба „A Grey Coat" спечелва международния поетически конкурс, организиран от британското издателство „Poetry Space", а през 2014 г. същото издателство публикува на английски език книгата ѝ „Лондонски ръкопис" („London Manuscript").

Anna Maria Mickiewicz АННА МАРИЯ МИЦКЕВИЧ *Lato w Seaford* ЛЯТО В СИФОРД

Anna Maria Mickiewicz
АННА МАРИЯ МИЦКЕВИЧ
Lato w Seaford
ЛЯТО В СИФОРД
Tłumaczenie: Łyczezar Seliaszki
Превод: Лъчезар Селяшки

Znalazłem tu nawet „ważny wiersz" pt. *Trzynastego Grudnia*:

Wyniośle zacisnąć wargi

Na jak długo?

Parują stawy w lesie

W stronę dalekiego domu

Dym zaciera pole widzenia

Porządek świata

Wzywa pomocy

Rozpadły się słowa „Wywrotowca”

Wywietrzały

jak stara szafa

Niczego nie przypominają żółte kartki

Pod palcami

Lód znaczeń

Runie cesarstwo

Ot tak

nie będzie nawet kartek.

A więc Poetka zatrzasnęła się nie tylko w czystym liryzmie.

Zawsze wydawało mi się, że pisanie wierszy na obczyźnie siłą rzeczy bywa najczęściej z lekka anachroniczne. Po raz kolejny widzę, jak pamięć i język nie murszeją, nie umierają. Bo język jest wciąż ten sam: to kod naszego istnienia! Jego trwałość jest niezniszczalna.

No i na koniec zacytuję wam wiersz zgoła uniwersalny, który zresztą posłużył na tytuł tego tomiku. Jego tytuł: *Lato w Seaford*:

Słońce zrzuca złote krople

Morze pozera je natychmiast

Niebo lśni

Dzień jest nierealny,

Wyrwany z innej opowieści.

Dojeżdżamy.

Kończą się tory.

Przekonujemy się o złudności nieskończonej przestrzeni…

Przechodzimy przez angielskie miasteczko.

Mała stacja,

Tynk odpada nierównomiernie z drewnianych podpór

przed nami ocean mieni się groźnie.

W oddali żółty klif

Wbija się ostro w morze

Nie ma frytek, lodów waty na patykach,

Ciała meduz błyszczą na kamieniach.

Dzień mija ospale,

Szara sylwetka statku.

Na plaży ludzie rozkładają:

Płócienne leżaki, Pomarszczoną skórę.

Jak widzicie: czy w Londynie, czy na Ziemi Ognistej nie tracimy kodu języka, z którego się wywodzimy. Anna Maria Mickiewicz zasługuje na mocniejsze usadowienie się w naszych lekturach.

Jednego tylko tu nie zrozumiałem… Otóż wiersze w tym tomiku mają także swoją wersję bułgarskojęzyczną (w tłumaczeniu Łyczezara Seliaszki). Nigdzie nie znalazłem notki o tym dlaczego ta wersja. Ale i dobrze: może enklawa bułgarska zapozna się z odrobiną polskiej poezji?

Anna Maria Mickiewicz, *Lato w Seaford*, Wydawca: Alicja Kuberska, Inowrocław 2017, s. 60.

Ekskursje pedagogiczne

Florian Smieja

Przeszedłszy na emeryturę w Kanadzie, zacząłem jeździć do Polski, by pomóc kształcić iberystów. Ekskursji tych było ponad szesnaście. Pierwsze wyprawy były do Wrocławia, potem do Opola i Częstochowy. Po spotkaniu Różewicza we Wrocławiu, widziałem go ponownie, kiedy odbierał kolejny doktorat honorowy w Opolu. Tamże witałem prezydenta emigracyjnego Ryszarda Kaczorowskiego i generałowa Andersową.

Do osobliwych wizyt zaliczę pojawienie się w Opolu delegacji władz Galisji, cieszącej się w Hiszpanii autonomicznymi prawami i uprzywilejowanym językiem, z jej prezydentem Fraga Irribarne na czele. Pewnie sądzili, że przylecieli do pokrewnych *mutatis mutandis* Ślązaków mówiących respektowaną gwarą. Jako tłumacz miałem dużo satysfakcji porozmawiać z Irribarne nie zdradzając, że byłem jedynym Ślązakiem na placu i do tego przejezdnym. Otrzymane później książki o pochodzącej z Galisji poetce Sofii Casanova Lutosławskiej podarowałem hispanistom

wrocławskim.

Zapamiętałem huczne przyjęcie na zamku w Brzegu koło Opola wydane na cześć Kazimierza Kutza. Wyraziłem wtedy żal, że film “Śmierć jak kromka chleba” nosi nieśląski tytuł. Ślązacy “kromką” nazywają”piętkę”, a przecież nie o to chodziło. Kutz wspominał, że przez wiele lat nosił się z zamiarem zrobienia filmu o emigracji całej śląskiej wsi pod przywództwem księdza do USA, gdzie założyli miejscowość Panna Maria w Teksasie. Plan nie doczekał się realizacji, bo fabuła zbyt wyraźnie symbolizowała tęsknotę całej Polski pod wodzą kardynała Wyszyńskiego. A chodziło po prostu o franciszkańskiego misjonarza, ks. Leopolda Moczygembę i mieszkańców śląskiej Płużnicy, którzy w 1854 roku popłynęli do Stanów Zjednoczonych z ziarnem siewnym, pługiem, krzyżem i dzwonem kościelnym.

Polska parafia w miejscowości Panna Maria w Teksasie.

***

W czasie moich pobytów pedagogicznych we Wroclawiu, w latach

dziewięćdziesiątych poznalem Noela Clarka (1925-2004). byłego korespondenta i pracownika radia BBC i tłumacza. Studiował w Oksfordzie germanistykę i romanistykę, opublikował m.in. przekłady dramatów Corneille'a i Kleista. Z czasem zaczął tłumaczyć poezję i teatr polski.

Dzięki zainteresowaniu Barbary Folty z telewizji wrocławskiej wystąpiłem z Noelem kilka razy przed kamerą, a w 1994 roku, w dwusetną rocznicę bitwy pod Racławicami, wydaliśmy razem dwujęzyczny tekst Teofila Lenartowicza "Bitwy Racławickiej".

Noel Clark przełożył ulubiony tekst angielskim wierszem, ale nie było jego polskiego wydania krytycznego, a polonista z Uniwersytetu Wrocławskiego proszony o pomoc, był przeciwny jego stworzeniu. Odmówił wszelkiej współpracy. Jako profesor gościnny nie lękający się akademickiego odium, postanowiłem sam tekst pilnie przygotować. Książka ukazała się na czas i stała się dostępna turystom pojawiającym się w Panoramie.

Mój bezsilny Zoil strofował mnie nazywając mój tekst kuriozalnym. Noel natomiast został zauważony, a po wydaniu przekładu trzech komedii Fredry, a także, ponoć świetnego, tłumaczenia "Wesela" Wyspiańskiego, uhonorowany przez władze polskie medalem za krzewienie kultury polskiej.

Tylko w Panoramie wycofano z niewiadomych powodów dwujęzyczną "Bitwę Racławicką".